

SKRA REMUSOWA

...Ale biały Ormuzd nie przestawał siać świętych prochów na kaszubską ziemię i pomimo sów i sępów skry padały jak rój gwiazd... Taka był pana Józefa opowieść. Policzki podeszły mu krwią i z oczu biły iskry, jak tamte, padające z Ormuzdowej ręki. – Zrozumiałeś mnie? – zapytał po długiej chwili. Odpowiedziałem: - Będę skrą Ormuzdową! – Pójdiesz więc i odwiedzisz ostatnie granice, gdzie jeszcze mówią naszą mową. I będziesz zadawał pytanie: Chcesz wybawić zapadły zamek?... Chcesz przenieść królewiankę przez głęboką wodę?... A kto ci odpowie: „Chcę!” – ten jest jedną iskrą Ormuzdową więcej. Przyjdzie czas, że będzie ich tyle, że wzbiją się szerokim płomieniem nad grobami naszych bohaterów, spalą sowy i sępy. Wtedy wzniesie się w chwale zapadły zamek, a w nim zasiądzie na tronie zaklęta królewianka, a na ziemi naszej zapanuje wolność, spokój i szczęście.

Nie przypadkiem mało znana i prawie nieobecna w świadomości literaturoznawczej powieść autorstwa kaszubskiego lekarza Aleksandra Majkowskiego „Życie i przygody Remusa” przez wnikliwych badaczy bywa porównywana do „Don Kichota” Cervantesa i do innych arcydzieł o znaczeniu europejskim. Nie przypadkiem w skromniej i zdawałoby się regionalnej bardzo historii o naznaczonym „skażoną mową” sierocie, który mimo niewiary we własne siły podejmuje misję zjednoczenia własnego narodu i odzyskania, nękaną przez demony o imionach Trud, Strach i Niewarto, kaszubskiej Duszy (i który ostatecznie – niczym Jasiek z „Wesela” – z własnej winy przegrywa walkę ze Smętkiem-Arymanem o przebudzenie ludu z zaklętego „chocholego tańca”), doszukują się oni powiązań z „Eneidą” Wergilisa, „Odyseją” Homera, czy „Boską komedią” Dantego, że tropią wątki sokratejskie, biblijne, romantyczne (czytelne analogie do Gustawa – Konrada z „Dziadów” Mickiewicza i do „Króla – Ducha” Słowackiego), że odkrywają w niej współobecność mitologii i tradycji kaszubskiej, słowiańskiej, germańskiej, celtyckiej, perskiej, indoeuropejskiej. Ta, rozgrywająca się jednocześnie w kilku planach - w realistycznej (obyczajowej, geograficznej i historycznej) przestrzeni wsi i miast kaszubskich przełomu XIX i XX wieku i w symbolicznej, onirycznej, baśniowej przestrzeni uniwersalnego mitu - opowieść, jest jednak przede wszystkim, ujętym trochę przewrotnie w strukturę legendy zapisem wewnętrznej walki człowieka o własną tożsamość, świadectwem pokonywania kolejnych, niełatwych etapów w procesie indywiduacji, a wreszcie zdobywania, krok po kroku, samoświadomości i rozpoznawania własnej „prawdziwej natury” (Remus – nierozumiany przez nikogo szaleniec, dziad wędrowny, jurodiwy, okazuje się być dziedzicem kaszubskich herosów – Stołemów i wcieleniem walecznego księcia Witosława, predestynowanym do zwycięstwa Rycerzem Światła). Jest wreszcie, co może najistotniejsze, przypowieścią o niszczącej sile zwątpienia.

Ów rys tragiczny szczególnie mocno wzbogaca tę książkę, dodaje jej wielowymiarowości, a jednocześnie „uczłowiecza” i „uwspółcześnia” bohatera, który pomimo jej maniery językowej i czasem nieco archaicznej literackiej stylizacji (należy pamiętać, że Majkowski pisał „Remusa” w okresie międzywojennym i że pierwsze jego wydanie opublikowane było w języku kaszubskim) staje się nam po prostu bliski. W całej swojej tęsknocie, lęku, niemożności, w nierozpoznanym do końca potencjale, w zmarnowanych szansach i wreszcie w nadziei na to, że ciągle się tłąca „skra Ormuzdowa” znów zostanie przez kogoś (w sobie samym...?) odnaleziona. *Zapadły zamek kaszubskiego ludu z całą jego chwałą nie prędeż wyjdzie z ciemnej głębi, zanim poprzez zwidy Strachu, Trudu i Niewarto tysiące pastuszków nie przeniosą swojej królewianki przez głęboką wodę...*

Losy Remusa, opisane przez człowieka, który przez całe swoje życie walczył o polskość, ale też o odrębność kulturową Kaszub, a który jednocześnie z powodu przynależności terytorialnej został administracyjnie uznany za Niemca (podczas I wojny światowej Majkowski musiał służyć w wojsku pruskim), są swoistą analogią do losów kaszubskiego narodu. Naród ten, doświadczony trudną i niejednoznaczną historią (mimo ukorzenionej już w średniowieczu polskości, Kaszubi poddawani byli wielokrotnie procesom germanizacyjnym; po ustanowieniu Traktatu Wersalskiego przez środek należących do nich ziem wytyczona została polsko-niemiecka granica, czego efektem było później m.in. przymusowe wcielanie Kaszubów do niemieckiej armii i dramatyczne historie ich dezercji; w czasach stalinowskich byli skazywani na łagry i wywózki, a w peerelowskiej Polsce kultura i język kaszubski były przez lata „rugowane ze szkół” i uznawane za przejaw zacofania, co spowodowało, że młodsze pokolenie Kaszubów uznawało swoje pochodzenie za rodzaj „wstydlivej skazy”), zachował

jednak własną tożsamość opartą na języku (ciągle żywym, przywracanym w edukacji, rozwijającym się słowotwórczo, obecnym w mediach i w życiu codziennym, po latach dyskusji oficjalnie uznanym za odrębny od polskiego), tradycji (charakterystyczne regionalne stroje, rękodzieło, obyczaje), kulturze (muzyka kaszubska, niegdyś deprecjonowana jako „ludowizna” została ponownie doceniona zarówno przez współczesnych etnografów, jak choćby autorów projektu „Cassubia incognita” odzyskującego i digitalizującego zapisy i nagrania pieśni kaszubskich odnalezione w zasobach PAN, jak i współczesnych muzyków – między innymi znanego kompozytora i „wizjonera jazzu” Leszka Kułakowskiego, którego płyta: „Leszek Kułakowski i Kaszubi” była nominowana przez „Jazzi Magazine” jako Płyta Roku 1997).

Najważniejszą jednak cechą Kaszubów, utrwaloną i zahartowaną przez wieki zmagania z różnymi wpływami i próbami wykorzenia, jest coś, co trudno jednoznacznie opisać, a co jest jednocześnie bardzo wyraźnie wyczuwalne w codziennych „życiowych” kontaktach – chodzi o rodzaj „kaszubskiej godności”, cichej, choć twardej i nieeksponowanej, „gospodarskiej” dumy, świadomej odrębności i poczucia własnej wartości. Być może to właśnie odróżnia ich od innych „pogranicznych” społeczności, które powstawały często w wyniku przesiedleń i których „tożsamość” bywa rozproszona. Kaszubi, niezależnie, czy przypadło im mieszkać po polskiej, czy po niemieckiej stronie granicy, czy uznawali samych siebie za Polaków, czy byli (przez Niemców i przez Polaków) uznawani za Niemców, mieszkali tak naprawdę zawsze „u siebie”, na „ojcowiznie”, nasycili tę przestrzeń własną „narodową duchowością” – kaszubską duszą...

I chyba właśnie ta „kaszubska dusza”, przeczuwana bardziej niż od razu rozpoznana, stała się przyczyną kolejnych wypraw i projektów realizowanych w kaszubskich wioskach przez zaprzyjaźnionych ze sobą artystów ze Szczecina (Teatr Kana), Łodzi (Stowarzyszenie Targowa 62), Zakopanego, Torunia, Słupska. *Początkiem były osobiste wędrowki, spotkania, wielokrotne powroty w miejsce, które stawało się coraz bliższe, które chciało się coraz bardziej zrozumieć, odnaleźć dla siebie jego historię. Z tego powodu powstał spektakl „Nasza szkoła”.*

Chośnica to niewielka wioska na Kaszubach, położona nieopodal Jasienia, Baranowa, Bawernicy, Nowego Folwarku, Chałupy... Zachodnimi krańcami wsi przebiegała do 1 września 1939 roku granica polsko-niemiecka...

Nikt już tu prawie nie pamięta tych czasów, kiedy krowy nielegalnie przechodziły popaść się po drugiej stronie, kiedy dzieci sąsiadów mówiły różnymi językami, kiedy na łąkę z obu stron schodzili się ludzie tańczyć razem do dźwięków akordeonu... Ani tego, jak cała wieś uzbierała 10 zegarków i wykupiła księdza, który miał zostać rozstrzelany za stodołę przez Rosjan. Ani opowieści o nauczycielach, uczniach, usprawiedliwieniach i uwagach, ani o komunistycznych wyborach w przystrojonej na biało i czerwono świetlicy, ani o tym, czym było saneczkowanie na lodzie...

Losy kilku kaszubskich pokoleń splotły się ze sobą i zostały zapisane w dziennikach lekcyjnych starej, nie działającej już, chośnickiej szkoły – gdzie jedna klasa, trzy okna, stary kaflowy piec, kamienny, wydeptany przedsionek, drewniane komórki na opał, ogródek, schody na strych... Dziennikach odnalezionych w tym ponad stuletnim budynku przez grupę tamtejszych nastolatków, dla których stały się one początkiem przywracanej krok po kroku – z rodzinnych opowieści, ze starych szuflad i stolarni, z rozmów z najstarszymi sąsiadami („ta pani ma tyle lat co mój dom...”) – ich własnej historii. Ten sposób pracy – zarażanie młodych ludzi ciekawością miejsca, w którym żyją i „dziadków”, których przywykli nie zauważać, uświadomienia wartości tego, czego przywykli się wstydzić, odnajdywania, wspólnie z nimi, ich kulturowej tożsamości – nie jest oczywiście czymś nowym. W ten sposób od wielu już lat działa Ośrodek Pogranicze w Sejnach (kolejne już, zmieniające się wraz z dorastającymi pokoleniami „Kroniki sejneńskie”, do których każdy nowy aktor dodaje swoją historię), w ten sposób powstawała „Księga wędrowna” olsztyńskiego Stowarzyszenia TRATWA (zbierająca wśród mieszkańców małych wsi Warmii i Mazur opowieści z „trzech różnych światów” i układająca je w „opowiadaki” – cykle obrazów–kolaży, przywoływanych następnie przez młodych „opowiadaczy”, podczas wędrowek-powrotów w miejsca, skąd zostały zasłyszane), na tym także polegała działalność Romy Kaszczyc z Barlinka (która wspólnie z tamtejszą młodzieżą przywróciła miastu znane tylko ze skrawków wspomnień i śladów zapisanych w niszczejących ruinach, „Legandy z puszczy rodem”).

Za każdym razem jednak decyzja o takiej pracy jest decyzją o zaczynaniu czegoś od początku, budowaniu od podstaw – o długiej, żmudnej, nie nastawionej na szybkie efekty „dłubaniu”, utkanej z kolejnych spotkań, śladów, tropów, przedmiotów, których znaczenie odkrywa się stopniowo i nie wprost; o wsłuchaniu się z pokorą w to co się zdarza, nie przyspieszaniu, nie uleganiu pokusie gotowych rozwiązań. O braku drogowskazów. Jeśli taka historia ma być opowiedziana prawdziwie, musi być znaleziona – wysłyszana blisko, oswojona, wypisana z topografii miejsc i pamięci. Musi być świadoma, że jest maleńkim fragmentem czyjegoś życia, a jednocześnie „prapoczątkiem”, najważniejszą i jedyną „praprzyczyną” całego obecnego świata...

W spektaklu-drodze, zbudowanym wokół starej szkoły w Chośnicy widzowie (podczas pierwszego pokazu głównie mieszkańcy wsi, rodziny aktorów, także trochę przyjezdnych) zostają zaproszeni do wspólnej wędrówki w przeszłość. Każda kolejna stacja przywołuje „klisze pamięci”: obraz dziewczynek z warkoczykami w sukienkach kwiaty i opiętych ciasno wokół szyi białych kołnierzykach, które biegają po boisku z paczką książek niedbale przewiązanych sznurkiem; matka wieszająca pranie i nucąca starą kaszubską pieśń; mozolnie uprawiane „grządki” i powtarzane pod nosem szkolne definicje; absurdalna, bez końca powtarzana wyliczanka o upartym koziołku; po-głosy dawnych rodziców odczytujących dawne usprawiedliwienia płynące z za zawieszonych jakby w powietrzu, ustawionych na pustym placu okiennych ram (każdy za swoją szybą, zamknięty w swoim domu); ale też ukryte w półmroku uchylonych drewni wspomnienia wojny, śmierci, strachu; i prawie już zapomniane melodie ze wspólnych zabaw na przedwojennej granicy, zaznaczonej (jak w grach dziecięcych) za pomocą położonego na ziemi sznurka.

Czas przeszły i czas obecny nawzajem się przenikają – oba zostają „wywołane” ze szkolnych dzienników przez rozpoznanie w nich „kolejnych pokoleń” własnych nazwisk. W subtelny sposób – z powtarzalnej codzienności, z rytmu i skrzywienia wycieranego pieca, stukotu niedomykającej się szuflady, drewnianego piórnika, wydeptanego progu, starej deski na której mistrz stolarstwa zapisał datę osadzenia drzwi (18...) – wydobywane są i nakładane na siebie kolejne rzeczywistości. Rzeczywistość dzieci z teraz (z ich imionami, wspomnieniami, domami w których mieszkają i zdziwieniem z odkrywania zapomnianych historii); dzieci z dawniej (w ich kołnierzykach, szelkach i „odgrywanych” trochę jakby dla zabawy „scenkach”); starych ludzi, którzy rozpoznają siebie-dzieci na projektowanych na ścianie czarno-białych zdjęciach (podczas spektaklu nagranych wcześniej i odtworzonym głosem wyliczającym nazwiska zaczęły towarzyszyć głosy z widowni, poruszenie, pokazywanie ręką na konkretne twarze); starych ludzi odpytywanych – jak dzieci - z tabliczki mnożenia; a wreszcie starych ludzi z teraz, chwyconych w ulotnym obrazie na tle rozwieszonego pomiędzy drzewami białego prania. I wszystko jest – jak wspomnienie – fragmentaryczne, niedopowiedziane – jak zacierająca się coraz bardziej fotografia, która w końcu pozostaje tylko niewielkim cieniem na odrapanej ścianie.

Spektakl jest budowany bardzo prostymi środkami, a jednocześnie zaskakuje nieoczekiwanymi skojarzeniami, sposobem obrazowania, także poczuciem humoru. Dużo jest w tych opowieściach jakiejś przewrotnej swobody, dystansu, zabawy. Uśmiechu, który powoduje, że te historie stają się dla wszystkich bardzo bliskie, swoje. Nie ma tu nic z recytacji wyuczonego tekstu – jest świadomość tego co się mówi. Także własnego języka, głosu, ciała. Tego kim się jest.

Coś się ważnego przydarzyło tego wieczoru w Chośnicy. Nie bez powodu bohaterowie tego przedstawienia – najstarsi uczniowie – przysiedli jeszcze przy piecu wspólnie z młodymi aktorami, że przyjezdni zostali na cieście i herbacie i zaczęli przeglądać rozrzucone na ławkach dzienniki, że popłynęły rozmowy, nawet śpiew...

„Nasza szkoła” to projekt, który zbudowany został z wielu warstw - z wypraw, rozmów, odwiedzin w domach, nagrywanych przy stole wspomnień, warsztatów prowadzonych w zimnej sali, spisywanych i wspólnie śpiewanych pieśni, zbieranych po strychach przedmiotów i zdjęć. Także z ciszy i nie-działania. Z autentycznego zasłuchania w ten kaszubski świat, który tylko pozornie rozproszył się w rozpędzonej, nadganiającej nowoczesności rzeczywistości.

Twórczyniom projektu (Weronice Fibich ze szczecińskiego Teatru Kana i Ewie Łukasiewicz z łódzkiego Stowarzyszenia Targowa 62) udało się chyba odnaleźć jednak kawałek drogowskazu, wytyczyć kierunki, dotknąć początku własnego spotkania z tym miejscem. Dla Beaty, Joli, Darka, Damiana,

Iwony i Ewy był on pierwszym (z pewnością ważnym) krokiem do odczytania - z utkanej pomiędzy drzewami sznurkowej pięciolinii – zapisu starej kaszubskiej melodii. To była ich piosenka...

Wrócili do niej rok później, wiosną 2010 roku. Na zaproszenie Ludomira Franczaka, artysty mieszkającego i działającego w Słupsku, „Nasza szkoła” została pokazana w ramach cyklu „Ruchomy Pamiętnik” – tym razem wobec przyjezdnej, „miejskiej” publiczności.

„Ruchomy Pamiętnik” to zainicjowany przez słupską Galerię Interdyscyplinarną cykl prezentacji z udziałem artystów, muzyków, pisarzy, twórców teatralnych odbywający się w kontekście sztuk wizualnych. Projekt skupia się na problemie pamięci miejsca, jakim jest Pomorze i cały teren tzw. „ziem odzyskanych”. A raczej na problemie „przejścia”, czasu niczyjego, zawieszonoego pomiędzy nową kulturą ludzi przesiedlanych, a obecną tam wcześniej kulturą niemiecką, czasu pomiędzy 1945 a 1950 rokiem. Jak piszą jego twórcy *„Ruchomy Pamiętnik” ma stać się spoiwem pomiędzy doświadczeniem starszego pokolenia i współczesnością- odwoływać się do historii, ale w sposób nowoczesny- wytwarzając nowy rodzaj więzi społecznej i świadomości miejsca, w którym mieszkamy.* W tym kontekście „Nasza szkoła” była wypowiedzią szczególną, bo pokazującą (przypominającą?) widzom, głównie mieszkańcom oddalonego o około 70 kilometrów Słupska, inny jeszcze wymiar ich przestrzennej i kulturowej tożsamości, wymiar obecnego tu „od zawsze” narodu, dla którego pojęcie „granicy” oznaczało głównie miedzę biegnącą skrajem lasu pomiędzy polem jednego i drugiego sąsiada. Tą właśnie miedzą idzie się obecnie na skrót z Baranowa do Chośnicy, nią też przez lata biegały kolejne pokolenia uczniów do chośnickiej szkoły. Tędy też zostali poprowadzeni widzowie spektaklu, ugoszczeni wcześniej przy ognisku przez mieszkającą na skraju Baranowa Ewę Orzechowską – dobrego ducha tego miejsca, Polkę urodzoną w Wielkiej Brytanii i przez lata mieszkającą w Kanadzie, która właśnie tu, na Kaszubach postanowiła mieć swój dom (co ciekawe, dopiero po osiedleniu się w Polsce okazało się, że wybrała miejsce, gdzie rzeczywiście odnalazły się jej rodzinne korzenie). Idąc ścieżką, oglądali poukrywane w trawie i zakopane w ziemi „sekrety” – kolorowe kolaże zdjęć, liści, kwiatów, rysunków i wycinków gazet – współczesne, młodzieżowe interpretacje słowa „granica”. Potem, skręcając na wyłożoną kocimi łbami drogę, z której rozciąga się widok na całą „polską” i „niemiecką” stronę, grupa dochodziła do starego drewnianego płotu otaczającego gospodarstwo, w którym mieszka wnuczka pani Heleny Zander – jednej z bohaterek spektaklu. Na próchniejących sztachetach przymocowane zostały pocięte w szerokie pasy zdjęcia – zbiorowe portrety uczniów i nauczycieli, zrobione w różnym czasie na tle tego samego szkolnego budynku. Z małych, ukrytych za płotem głośników, popłynęła nagrana wcześniej pód – polska, pód – kaszubska opowieść o tym jak kiedyś się tędy chodziło do szkoły (na bosaka, lub w butach z korka), o czytanych ukradkiem na miedzy „Bajkach z wszechświata”, o tym, że koło mostu był cmentarz, że tam czarny pies chodził, że wszyscy mieli stracha... *Tam wszystko potłuczone jest, ludzie tak nie szanują, to brzydko jest... Niech ci umarli, czy to byli Niemcy, czy Ukraińcy, niech im już dadzą spokój. My mieli stracha do granicy iść. Bo Niemcy... Tak my mieli stracha przed Niemcami. Bo tu szła granica. Tu, jak te łąki są. Ten rów. Ja pamiętam, ale my już byli na Pustkach tam, jak poszłam na grzyby, miałam wtedy 11 czy 12 lat, to ci celnicy chodzili, i wtedy jeden się mnie zapytał, czy ja wiem gdzie jest granica. Ja mówię: tam jest kamień. Ja myślę, że tam jest granica. Ale to Polak był. A Niemcy... Józef, Maryja, jakiego my mieliśmy stracha... A przecież to tacy sami ludzie jak my...*

Zgromadzeni wokół płotu uczestnicy tej wędrowki jeszcze przez wiele minut stali w milczeniu, wspólnie wsłuchując się w słowa 85-letniej, byłej uczennicy chośnickiej szkoły.

Kolejnym etapem był dom naprzeciwko szkoły (przed wojną służył jako miejsce czasowego zamieszkania niemieckich celników, a także jako tymczasowy areszt). Na ścianach ciasnej klatki schodowej druga wystawa – tym razem były to zdjęcia współczesne, zrobione podczas jednego z warsztatów, opowiadające o własnej drodze do szkoły każdego z aktorów spektaklu: widok z okna autobusu, bocianie gniazdo, las, krowy za płotem, cień roweru na ścieżce. I znów głos pani Zander opisujący szkołę: poprzecinane przez nauczyciela na pód ławki (żeby było przejście), rosnącą na podwórku jabłonkę spod której nikt nie ośmielił się pozbierać jabłek (taka dyscyplina była). *W domu my rozmawialiśmy po kaszubsku, dopiero w szkole nauczyliśmy się po polsku, rodzice mieli stracha,*

jak my będziemy rozmawiali... Potem wszyscy przeszli na drugą stronę ulicy, na szkolne podwórko... Tam zaczynał się spektakl.

O ile pierwsza prezentacja „Naszej szkoły” (ta sprzed roku...) ujmowała autentycznością, odważnym pokazywaniem własnej nieśmiałości, wahań, niepewności, nie-udawaniem, nie-graniem, umiejętnością bycia sobą w każdej z niełatwych wtedy emocji, to tym razem szczególnie zaskakująca była swoboda i rodzaj zabawy, jaką podjęli ze sobą i z widzami młodzi aktorzy. Było w ich działaniach coś bardzo pewnego, „osadzonego”, bezwysiłkowego – prowadzonego na lekkim uśmiechu i dystansie do siebie. Czuło się, że spotkanie sprawia im radość i że dobrze wiedzą, dlaczego to robią. Że powołują na scenie zupełnie inny rodzaj obecności. Że są już jakby na innym etapie i opowiadają tę historię z innej perspektywy. Że nie są już „w pierwszej klasie”.

Na pewno nie bez znaczenia były dla nich zmiany, które w tym czasie dokonały się w ich życiu. Część z nich skończyła już szkołę – zaczęli pracować, lub uczyć się w bardziej odległych od domu miejscach. Innym doszły nowe obowiązki: pilnowanie dzieci, wywózka i sprzedaż drewna z lasu, opieka nad rodziną. Niektórzy budują pierwsze dorosłe związki. Ale jest w tym coś więcej... Coś co można wyczytać z ich zachowania, skupienia, koncentracji w byciu razem. Także z rozmów, z rzucanych od czasu do czasu słów, które niosą zaskakujące znaczenia. Z umiejętności milczenia. Z potrzeby wspierania się nawzajem. Ze wspólnej radości.

Wszyscy oni mają świadomość, że przez to spotkanie coś im się przydarzyło. Coś, co ich zmieniło. Co nie było łatwe, ale się, mimochodem, dokonało. Ta droga – poprzez „słuchanie przestrzeni” starej klasy, wystukiwanie rytmu kroków zapisanego w szkolnym progu, pierwsze uważne rozmowy z rodzicami i dziadkami o ich dawnym życiu, przyglądanie się bliskim sobie krajobrazom, określanie ważnych dla siebie miejsc i ludzi, odkrywanie przeszłości własnych domów, wybór historii, które chce się opowiedzieć, ale też poprzez wspólne zabawy, ogniska, śpiewy, grę w siatkówkę i wyprawy nad jezioro – stała się ich „remusową” ścieżką do poznawania, krok po kroku, siebie.

Raz usłyszana „piosenka” zapisała się w nich na tyle mocno, że potrafili podczas pospektaklowego spotkania z obcą przecież sobie publicznością swobodnie i z dumą opowiadać o swoich wioskach, swoim lesie, swoich Kaszubach. O własnych wyborach, priorytetach, planach. I – co podkreślali wszyscy widzowie – byli w tym „silni i mocni”. Prawdziwi. Tacy – „ze światłem w oczach”...

Nieformalna grupa „Brzozaki”, którą tworzą obecnie oprócz aktorów spektaklu „Nasza szkoła” i ich przyjaciół, także ich rodzeństwo i inne, młodsze dzieci z pobliskich wiosek, realizuje – pod opieką Ewy Orzechowskiej – projekt, który sami nazwali „Wiemy, że byli”. Odwiedzają okoliczne stare, zaniedbane cmentarze, odczytują napisy, wypytują ludzi, odwiedzają archiwa, odtwarzają losy tych, po których ślady udaje im się odnaleźć.

Wnuczka pani Zander, pracująca w sklepie w Chośnicy, poprosiła o zostawienie jej nagrań z opowieściami pani Heleny. *To przecież moja babcia...*